SKARBNICA

NAUKOWA i POWIEŚCIOWA

dla ludu polskiego.

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. Marceli Dziurzyński.

ROK 1896.

Tom I. **Wrzesień.** **Zeszyt I.**

KRAKÓW.

Nakładem wydawcy. Druk W. Korneckiego w Krakowie.

1896.

„SKARBNICA“

naukowa i powieściowa

wychodzi w Krakowie raz w miesiącu dnia 1-go, w książeczkach objętości $2^1/_2$ do 3 arkuszy druku.

Prenumerata wynosi:

w Austryi:	w Niemczech:
na rok . . 1 złr. 50 ct.	na rok . . . 3 marki
na pół roku . . 75 ct.	do końca bież. roku . . . 1 marka
a do końca tego roku tylko . . 50 ct. (za 4 miesiące).	w Ameryce na rok . . . 1 dol.

Prenumeratę i wszelkie korespondencye należy przesyłać pod adresem wydawcy:

Ks. M. DZIURZYŃSKI w Krakowie ul. Basztowa l. 4.

Od wydawnictwa!

Ci Szan. Odbiorcy, którzy w tym roku (1896) prenumerowali „Nowy Dzwonek“ i zapłacili zań **2 złr. 50 ct.** czyli nadpłacili 1 złr. na 2-gie półrocze, otrzymywać będą za tego nadpłaconego reńskiego „Skarbnicę“ do końca kwietnia przyszłego roku 1897.

Wszyscy zaś inni, jeżeli chcą otrzymać następny zeszyt „Skarbnicy“ i dalsze, mają nadesłać nową prenumeratę najpóźniej przed końcem września, przynajmniej za czas od września do końca tego roku czyli **50** centów (z Niemiec **1** mk.) lub jeżeli chcą na czas dłuższy, na cały rok lub pół roku.

Ktoby nie chciał prenumerować „Skarbnicy“, zechce nam ten zeszyt zwrócić.

„Skarbnicę“ przesyłać będziemy tylko z góry za to pismo płacącym!

Jak obierano królów w Polsce.

Po śmierci króla Zygmunta Augusta, który umarł w roku 1571 bezdzietnie, nie było sukcesorów tronu płci męzkiej. Na tym królu wygasł ród Jagiellonów, który Polsce przez dwa wieki szczęśliwie panował.

Nie było też żadnej ustawy, jak się ma odbywać wybór nowego króla, kto ma wybierać? jak wybierać? Rozpoczęło się więc bezkrólewie, blisko dwa lata trwające, z czego wynikły niezgody i niepokoje.

Arcybiskup gnieźnieński ks. Jakób Uchański, który był zarazem Prymasem państwa i na mocy tej godności zastępował króla podczas bezkrólewia, zwołał zaraz po śmierci Zygmunta Augusta zjazd panów do Łowicza. Ale i wielki marszałek koronny najwyższy urzędnik świecki w Polsce, Jan Firlej, kalwin, przypisywał sobie te same prawa, co i Pry-

mas, i zwołał na własną rękę podobny zjazd do Krakowa.

Zaczęły się tedy różne osobne narady i kłótnie, a że ogólnie życzono sobie, aby wybór króla wnet nastąpił, więc zgodzono się wreszcie zjechać w Knyszynie na Podlasiu, gdzie leżały jeszcze zwłoki królewskie. Lecz i tu do zgody nie przyszło. Ostatecznie po wielu zjazdach i sejmikach pogodziły się obie strony i dzień 15 stycznia oznaczono na powszechny sejm konwokacyjny (przyzywny) mający się odbyć w Warszawie.

Na tym pierwszym sejmie konwokacyjnym uchwalono, że prawo zwoływania sejmów podczas bezkrólewia ma wyłącznie Prymas. Na każdym zaś późniejszym sejmie konwokacyjnym omawiano także dzień sejmu wyboru króla, czyli sejmu elekcyjnego. Czas pomiędzy jednym sejmem a drugim nie był zbyt dokładnie określony.

W tym czasie odbywały się po województwach sejmiki relacyjne, na których posłowie zdawali sprawozdanie ze swych czynności w sejmie konwokacyjnym. Obierano też na tych sejmikach posłów na sejm elekcyjny i radzono o kandydatach do tronu, swoich i obcych.

Do swoich należeli krewni króla jeżeli byli lub jaki magnat, i wogóle każdy szlachcic polski, do obcych należeli książęta cudzoziemscy.

Prawo wybierania króla mieli nietylko wszy-

scy senatorowie i szlachta, ale nawet każdy szlachcic osobiście, nie mieszając się jednak do innych obrad sejmu elekcyjnego.

Kiedy po śmierci Zygmunta Augusta miano obrać królem Henryka Walezego z Francyi, powstało przed obiorem pytanie, czy każdy szlachcic ma prawo osobiście dawać głos przy wyborze. Jan Zamoyski, wtenczas poseł bełzki, utrzymywał, że skoro każdy szlachcic broni Ojczyzny i każdy, gdy potrzeba, ma się stawić na pospolite ruszenie, to każdemu przysługuje prawo oddania głosu przy wyborze króla. Wniosek ten podobał się szlachcie, więc go bez namysłu przyjęła.

Oprócz szlachty, od chwili wyboru króla Władysława IV. (1632) nadano także niektórym miastom prawo głosowania na króla przez wybranych posłów. Początkowo miały to prawo: Kraków, Poznań, Wilno i Lwów. Na króla Michała (w r. 1669) głosowała już i Warszawa, a na Stanisława Augusta (w r. 1764) i Kamieniec Podolski. Z miast pruskich, będących pod panowaniem Polski, służyło to prawo Gdańskowi, Toruniowi i Elblongowi. Na niektórych wyborach są podpisy i miasta Rygi.

Wojsko nie miało tego prawa, a gdy Kozacy w czasie bezkrólewia r. 1632 starali się o to prawo, sejmujące stany odprawiły ich z oburzeniem. Każdy jednak szlachcic polski, należący do wojska mógł jako szlachcic głosować w swojem województwie.

Na owym sejmie konwokacyjnym po śmierci Zygmunta Augusta, uchwalono też, żeby wybierać króla na jednem miejscu, i za takie miejsce obrano Warszawę. Z przyczyny zaś, że trudno było pomieścić w mieście wszystkich wyborców, wyznaczono na wybór pole wsi Kamień. Tu dokonał się wybór króla Henryka i później Augusta III. Wszystkie zaś inne wybory królów odbywały się na polu między Warszawą a wsią Wolą.

Miejsce w polu wyborczem, przeznaczone do obrad sejmowych otoczone było rowem i wałem, a przystęp do niego był otwarty tylko trzema bramami, zachodnią dla Wielkopolski, południową dla Małopolski i wschodnią dla Litwy. W środku pola za każdym razem, gdy się miał odbywać sejm wyborczy, wystawiono budynek w kształcie namiotu, z drzewa, nakryty tarcicami, z płóciennemi ścianami, nazwany szopą. Wystawienie tej szopy należało do wielkich marszałków na koszt skarbu publicznego. W tej szopie zasiadywali senatorowie.

W niewielkiem za szopą oddaleniu, pod gołem niebem, zbierali się na obrady posłowie ziemscy, z wszystkich województw. Ponieważ to miejsce ciągnęło się naokoło owej szopy, więc nazwano je kołem, zgromadzonych zaś na tem miejscu posłów, Kołem rycerskiem. Wszyscy zaś szlachcice, którzy przybyli na wybór, aby osobiście głosować, schodzili się za okopem na polu

wyborczem pod znakiem swych województw, a każde województwo miało wyznaczone miejsce przez wielkiego marszałka.

Sposób w jaki wybierano królów, nie był ściśle oznaczony i przepisany. Wszystko, cokolwiek wiemy o tych wyborach, opierało się na zwyczajach, nie na prawie, a zwyczaj był taki:

W dniu otwarcia sejmu elekcyjnego (wyborczego) odbywało się najpierw uroczyste nabożeństwo w kościele św. Jana. Odprawiał je albo Nuncyusz papieski, albo Prymas gnieźnieński. Po nabożeństwie udała się osobna delegacya do wdowy po królu, (jeżeli taka była) i tu przemawiał do niej najpierw w imieniu senatu Prymas, a w imieniu stanu rycerskiego, marszałek ostatniego sejmu konwokacyjnego (przyzywnego).

Po tej ceremonii wychodzili wszyscy na pole wyborów; senatorowie do szopy, a posłowie ziemscy do Koła, aby wybrać marszałka sejmu wyborczego (elekcyjnego). Dopóki nie obrano marszałka, posłowie radzić nie mogli. Wybór marszałka powinien był być według praw ukończony w jednym dniu, później według praw z r. 1678 przedłużono ten termin do dni 14 i przypuszczono do wyboru wszystką szlachtę obecną na sejmie. Zdarzało się czasem, że wskutek niezgody obierano dwóch marszałków.

Nowo wybrany marszałek składał przysięgę,

że wierny swym obowiązkom wykona dyplom nowemu królowi tylko za ogólną zgodą wyborców. Po tym obrzędzie deputacya złożona z jednego posła wielko-polskiego, jednego mało-polskiego i jednego litewskiego, udawała się do szopy, by oznajmić senatorom, że Koło rycerskie już ma marszałka. Senat zaś dodawszy do tej deputacyi trzech z pośród siebie, wysyłał tę nową deputacyę do Koła rycerskiego zapraszając posłów do szopy na wspólne narady.

Po wysłuchaniu tej deputacyi, posłowie ziemscy mając na czele swego marszałka wchodzili do szopy, wprowadzani uroczyście przez wielkich marszałków lub nadwornych, a w braku tychże przez któregokolwiek z ministrów.

Marszałek Koła powitawszy ukłonem Prymasa, siadał na niższem od senatorskiego krześle i przemawiał w imieniu posłów ziemskich do senatu, witając go i zapewniając, że sejm ma czyste chęci i będzie bezstronnym w wyborze króla. Prymas odpowiadał na to, chwaląc Koło rycerskie, iż zgodnie obrało marszałka, zalecał zgodność podczas całego sejmu, wykładał co zaszło w kraju podczas bezkrólewia, zdawał sprawę ze swych czynności z tego czasu, odczytywał listy książąt zagranicznych i przedstawiał senatorom i posłom, co i jak na tym sejmie działać wypada.

Na następnych sejmach połączonych stanów

(t. j. posłów ziemskich i senatorów) radzono najprzód o sądzie, który się zwał kaptur generalny, którego powinnością było karać wszelkie przestępstwa, popełnione tak na polu elekcyi (wyborów), jak i gdziekolwiek w czasie tego sejmu. Nazywał się ten sąd »kapturem generalnym“ (ogólnym) dla odróżnienia od sądów kapturowych, jakie ustanawiano po poszczególnych województwach w czasie bezkrólewia.

Powtóre uchwalano ustawy potrzebne do zachowania porządku i bezpieczeństwa sejmu elekcyjnego, dalej potwierdzano postanowienia deputacyi, która podczas bezkrólewia wszystkie nadużycia i bezprawia urzędników i wszystkich stanów badała i takowe prostowała i znosiła, ale uchwały jej musiały być potwierdzone przez sejm elekcyjny i to w pierwszych trzech tygodniach.

Na niektórych sejmach elekcyjnych (wyborczych) układały stany warunki ugody pomiędzy królem, mającym być wybranym a narodem. Nazywały się te warunki ugody: *pacta conventa* (pakta konwenta). Te *pacta conventa* musiał nowy król przed koronacyą zaprzysiądz, że je wypełni. Między ininnemi warunkami były także: 1) po śmierci króla, choćby miał następcę, zawsze następuje wolny wybór nowego króla; 2) bez pozwolenia senatu i sejmu nie może król brać żony, nie może podatków nakładać, wojny wydawać; 3) ma zatwierdzić dawne

przywileje zachowania każdemu wolności religii; 4) tylko szlachta krajowa może piastować urzędy publiczne; 5) gdyby król zobowiązań zawartych w „pakta konwenta“ nie dotrzymał, wtedy naród nie był zobowiązany do posłuszeństwa i mógł go zrzucić z tronu. Prócz tych ogólnych, były jeszcze warunki osobne, dla każdego króla inne.

Później uznano za rzecz polityczną inne p a c t a stanowić dla króla cudzoziemca, a inne dla króla ziomka, i radzono nad niemi dopiero po obiorze. W czasie sejmu odbierano powtórnie przysięgę od wojska na wierność dla kraju. Pierwszy raz odbierano tę przysięgę zaraz po śmierci króla, a odbierała ją deputacya do wojska wysłana. Przysięgę w czasie sejmu składali w imieniu wojska hetmani, zwykle na sejmie obecni, którzy przyrzekali, że swej powagi wojskowej na szkodę kraju lub własną korzyść nie nadużyją, wojska na pole wyborów nie sprowadzą i nad granicą kraju trzymać je będą.

Gdy sejm elekcyjny po odbyciu tych zwykłych i koniecznych czynności już tak postąpił, że do głosowania na króla miano przystąpić, wówczas Prymas państwa (t. j. Arcybiskup gnieźnieński) zapraszał na audyencyą (posłuchanie) do senatu i Koła rycerskiego wszystkich posłów zagranicznych przybyłych na wybory, a którzy do tej chwili zaproszenia nie mogli mieszkać ani w Warszawie ani na

polu wyborczem, lecz w wyznaczonych im miasteczkach.

W dniu przeznaczonym na audyencyą wybrana deputacya z pomiędzy senatorów i posłów, z licznym orszakiem i wielką okazałością wyjeżdżała naprzeciw posłom zagranicznym i wprowadzała ich do Koła rycerskiego, dokąd już przedtem senatorowie z szopy przyszli. Z tego, ilu członków miała owa witająca deputacya, jaki był sposób wprowadzenia posła zagranicznego do Koła, jakie mu tam miejsce przeznaczono i w jakim porządku puszczano na audyencyą, z tego wszystkiego można było poznać cześć, jaką chciano oddać narodowi lub dworowi, którego ten poseł przedstawiał.

Posłowie zagraniczni rozumieli się na tych oznakach i tak n. p. jeżeli taki poseł zagraniczny jadąc na audyencyą około namiotów zebranej w województwa szlachty, był od tejże przyjmowany z honorami wojskowymi, z muzyką i z rozwiniętemi chorągwiami, to wiedział już, iż jego pana czyli króla uczcić chciano, ale gdy go w milczeniu przepuszczono, to był pewnym, że szlachta nie sprzyja jego panu.

Przy obiorze Henryka Walezego powstał spór między posłem francuskim a hiszpańskim, kto z nich ma mieć wprzódy posłuchanie, a gdy stany dały pierwszeństwo francuskiemu, hiszpański poseł obrażony tem, wolał bez audyencyi wrócić do ojczyzny,

jak pozwolić ubliżyć godności narodowej. Hiszpania po tem zdarzeniu nigdy na taki obiór króla, nie wysyłała posłów swych do Polski.

Przedstawiciel Ojca św. był zwykle pierwszym i najwięcej czczonym posłem. Deputacya wysyłana na jego powitanie składała się prawie zawsze z samych Biskupów. Prymas na jego powitanie wstawszy z krzesła dwa kroki postępował i sadowił go pomiędzy sobą a najbliższym Biskupem. Przyjmując zaś innych posłów nie wstawał Prymas gdy ich wprowadziła deputacya, sadzono ich zwykle naprzeciw Prymasa.

Najprzód oddawali owi posłowie zagraniczni swe listy wierzytelne, które głośno odczytywano. Jeżeli w tych listach nie były zachowane wymagane od Polaków tytuły i jeżeli ani stanów ani rzeczypospolitej nie nazywano w listach „najjaśniejszemi“, to bez odczytania zwracano je posłom.

Po oddaniu listów poseł nakrywał głowę i usiadłszy na przeznaczonem miejscu miał do senatorów i posłów ziemskich (czyli połączonych stanów) mowę w języku łacińskim. W tej mowie pozdrawiał poseł Stany imieniem swego pana i lub własnego kandydata przedstawiał do tronu, lub domawiał się za jakim innym kandydatem, ale życzliwym jego narodowi. Prymas w imieniu senatu, a marszałek w imieniu Koła rycerskiego odpowiadali posłowi. Na tem kończyła się audyencya, posłowie zagrani-

czni z temi samemi ceremoniami jak przyszli, oddalali się z pola wyborczego.

Posłowie mniejszych książąt, i książąt Polsce poddanych, bywali przyjmowani z tą samą okazałością, lecz osobno mieli posłuchanie u senatorów, osobno w Kole rycerskiem. Jeżeli pomiędzy kandydatami do tronu był także swój, to jest Polak, natenczas zaproszona przez niego deputacya złożona z senatorów i posłów ziemskich odbywała to poselstwo.

Po odbytych wszystkich audyencyach, czytano listy tych mocarstw, które nie przysłały posłów, lub listy tych posłów, którzy dla słabości na posłuchanie przybyć nie mogli.

Ponieważ ani ci, którzy się starali o koronę królewską, ani posłowie zagraniczni nie mogli się znajdować na polu wyborczem (elekcyjnem), przeto po śmierci Zygmunta Augusta, zamianowano dla każdego kandydata (ubiegającego się o koronę) deputacyę z senatorów, która go szlachcie polecała. Przy następnych wszystkich wyborach wolno było kandydatowi zaprosić sobie prywatnie kogo z senatorów lub z posłów, który go szlachcie polecał.

Po audyencyach miał Prymas mowę do stanów, wyliczał kandydatów do tronu i najgodniejszych zalecał, z wnioskiem, aby stany na ich wybór wpływały u reszty wyborców.

W dniu przeznaczonym do głosowania na króla,

senatorowie i posłowie ziemscy stawali w kole rycerskiem, a reszta szlachty w polu na koniach, pod chorągwiami, na województwa i ziemie podzielona. Prymas po krótkiej przemowie do stanów, klękał i intonował hymn do Ducha św. „*Veni Creator*", który to hymn śpiewało całe zgromadzenie. Po odśpiewanym hymnie, dawszy błogosławieństwo senatorom i posłom, wpuszczał ich do szlachty własnych województw, a sam z marszałkiem sejmowym zostawał w kole.

Senatorowie i posłowie tych województw lub ziem, z których szlachta na obiór nie zjechała, zbierali się albo w kole albo w szopie.

Gdy senatorowie i posłowie weszli pomiędzy szlachtę swych województw, pierwszy z senatorów przemawiał do szlachty i wyliczywszy jej kandydatów do tronu, jednego z nich szczególnie zalecał, a gdy wymienił jego nazwisko i szlachta krzyknęła: »zgoda«, wtedy zbierał od każdego ze szlachty podpisy własnoręczne i dodawał swój głos. Potem wszyscy wracali do koła i oddawali zebrane głosy marszałkowi sejmowemu, który je obliczał wspólnie z Prymasem.

Gdy się okazała za którym kandydatem większość głosów, odczytywano ich liczbę, potem Prymas objeżdżał wojewodztwa szlachty zebrane koło wałów i pytał się po trzykroć, czy się zgadzają

wszyscy na obranego króla. Jeżeli się nikt nie odzywał, oznajmiał króla w następujący sposób:

»W Imię Pana naszego mianuję królem polskim i wielkim księciem litewskim N. N. (tu wymieniał jego imię i nazwisko), błagając Króla niebios, ażeby tego, którego przed wieki królem naszym postanowił, przez łaskę woją w sprawowaniu tak ważnego urzędu wspierał i wybór ten dla kraju błogim i szczęśliwym, szczególniej zaś Kościołowi rzymsko-katolickiemu pomyślnym uczynił.«

Za powrotem Prymasa do koła rycerskiego, wezwani marszałkowie przez Prymasa, ogłaszali króla przy wszystkich bramach pola wyborczego w następujących wyrazach:

»Zgodnie wybrany król N. N. (tu wymieniali jego imię i nazwisko) jest już oznajmionym przez bezkróla (interreja, którym był Prymas), tego więc za króla prawnie obecnego i oznajmionego uważajcie.«

Po tych ogłoszeniach całe zgromadzenie przyklęknąwszy śpiewało „*Te Deum*“. Radosne okrzyki, powiększone hukiem dział, dźwiękiem trąb i łoskotem kotłów, były oznakami powszechnej radości i szczęśliwie odbytej elekcyi (wyborów), która kończyła się tegoż dnia w mieście, powtórnie odśpiewanym hymnem „*Te Deum*“ w kościele św. Jana.

Jeżeli, co się czasem zdarzało, nowo-obrany

król był obecnym w tym czasie, to prowadzono go z jego mieszkania w tryumfie do kościoła, w razie przeciwnym posłowie obranego króla zastępowali go przy tej uroczystości.

Trafiało się czasem, że przez rozdwojenie umysłów niezgodny był wybór, to jednak złych skutków na kraj to nie sprowadzało, bo po niejakim czasie wszyscy większością głosów obranego króla uznawali, chociaż przy obiorze się różnili. Obrany król musiał być uznany za prawego i od tych, którzy na obiorze nie byli, inaczej tacy byli na mocy prawa z r. 1573 uważani za nieprzyjaciół ojczyzny.

Dnia następnego po ogłoszeniu króla, sejm zbierał się albo na polu wyborczem, albo na zamku warszawskim, aby wygotować i podpisać dyplom wyborczy dla króla. Od czasów króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego radzono o »paktach konwentach«, które dawniej przed wyborem układano.

»Pakta« przygotowane i potwierdzone przez stany, osobiście obecny król zaprzysięgał uroczyście w kościele św. Jana i potem z rąk Prymasa odbierał dyplom. Za nieprzytomnego króla posłowie tylko tymczasową składali przysięgę, potem Sejm wysyłał do niego uroczyste poselstwo z zawiadomieniem o jego wyborze na tron, i z poleceniem odebrania przysięgi na »pakta« i wręczenia mu dyplomu.

Po zaprzysiężeniu ugody, czyli owych »paktów«,

ogłaszał marszałek powtórnie w kościele św. Jana, iż Polacy mają prawego króla, a sejm przez Prymasa składał obecnemu królowi, lub jego posłowi powinszowanie. Nowo obrany król wyjeżdzał niekiedy na pole wyborów, by dziękować za głosy wyborcom jeszcze tam zebranym.

Po wyborach szlachta wracała do domów, posłowie sejmowi kończyli obrady, wyznaczając dzień pogrzebu poprzedniego zmarłego króla, dzień koronacyi nowego króla i czas sejmików, jakie się miały odbyć przed sejmem koronacyjnym.

Jeżeli przy obiorze króla zaszła jaka niezgoda, wyznaczono nowy zjazd powszechny w celu poparcia obioru króla.

Sejm elekcyjny (wyborczy) podług prawa nad sześć tygodni trwać nie powinien, kończył się zaś uroczystością w kościele św. Jana, poczem na polu wyborczem rozrzucano okopy i rozbierano bramy i szopę.

Opisawszy sposób wyboru królów dodać jeszcze należy, że w ogóle wybory te były zgubne dla Polski, i że daleko korzystniej byłoby dla naszej Ojczyzny, gdyby tron królewski był przechodził w spadku z ojca na syna lub na krewnych.

Przy wyborach bowiem szlachta tylko się kłóciła, zjeżdżała się na nie licznie i zbrojno, opuszczając zajęcia domowe, a nie mając ani nauki, ani doj-

rzałości w sprawach politycznych, utrudniała obrady i w końcu oddawała głosy temu, kto jej lepiej umiał się przypodobać.

Obieralność królów stała się jedną z głównych przyczyn upadku Polski. *M.*

PIOTR Z KREMPY
i czterdziestu męczenników w Sandomierzu.

Było to w roku 1251. Noc ciemna pokrywała mury odwiecznego Sandomierskiego grodu, blado gdzieniegdzie migocące gwiazdy, przeglądały się w spokojnych Wisły nurtach i cicho było dokoła, choć w pośrodku miasta wrzały niepokoje, troski i tęskne przeczucia. Nieco opodal, na szerokiem błoniu, gwar niezrozumiały dla polskich uszu mowy, rżenie powiązanych koni i liczne światła, wskazywały obóz Tatarów, którzy od dni kilku daremnie kusili się o zdobycie Sandomierza, mężnemi osadzonego obrońcy. W namiocie wodzów pogańskich Nogaja i Teleboga, walna toczyła się narada, jakby napaść znienacka czujne straże Lackie. Gdy nic wymyślić nie mogli, Nogaj zaczął doradzać odwrót, wszak i tak już nie mało uzbierali skarbów, plądrując po kraju, niemało krwi chrześcijańskiej przelali! Nie dalej jak dziesięć dni temu w Zawi-

choście, sześćdziesiąt dziewic poślubionych Bogu i dwudziestu kapłanów, padło pod ich morderczem żelazem! Telebog z dzikim okrzykiem odrzucił wniosek towarzysza. Odstąpić warowni, której oblężenie nie mało już kosztowało trudów, wyrzec się skarbów zamożnych mieszczan, nie, nigdy — raczej zginąć marnie! Stanęło na tem, że kwapiąca się z powrotem do swej ziemi horda, pozostawi swym wodzom kilka dni czasu, dla wynalezienia podstępu, któryby oddał w ich ręce nowe łupy i nowe ofiary.

Gdy po ukończonej naradzie, Telebog płonący żarem chciwości i rozboju, wyszedł ochłodzić głowę zimnemi wiatru powiewy, człowiek jakiś powstawszy z ziemi posunął się ku niemu, chcąc zaczepić słowem. Skoro jednak zbliżył się więcej, odstąpił kilka kroków, widać dręczony bojaźnią, za chwilę znów posunął się dalej i znów zabierał do ucieczki, gdy Telebog posłyszawszy szelest, schwycił go za ramię. Przerażony jeniec padł twarzą na ziemię, a na groźne pytanie czegoby żądał, odparł bełkocąc Tatarów mową:

— O synu słońca, użycz chwil kilka ziemnemu robakowi, jasności twego oblicza, aby mógł wypowiedzieć myśl swoją. Byłem niegdyś w niewoli u Lachów, znam ich obyczaj i mowę, wiem coby uczynić trzeba, abyście posiedli Sandomierz.

— Mów — zawołał porywczo pogański ksią-

że — jeżeli mądre są twoje słowa, nie minie cię hojna nagroda! i poprowadził go szybko do swego namiotu.

Długo w noc cichą tam wiedli rozmowę w końcu Telebog uderzył radośnie w ręce i zaśmiał się dziko; znać słowa doradzcy przypadły mu do serca.

A w Sandomierzu tymczasem w klasztorze Dominikanów zgromadzili się około wielebnego Sadoka, który piastował urząd przełożonego, sprawowany tamże pierwej przez św. młodzieńca Jacka, synowca pobożnego założyciela klasztoru Biskupa Iwona Odrowąża.

— Tak więc — mówił przeor — ojciec Szymon badał straż na wałach, ażali nie dojrzała w obozie nieprzyjacielskim ruchu, zapowiadającego nam oddalenie się tej strasznej, zawieszonej nad głowy naszemi plagi, ale nic dostrzedz nie mogli dotąd, a tu co chwila zmniejszają się zapasy, ubywa mężnych wojowników! — wartoby pomyśleć o środkach ochrony sprzętów kościelnych i złota, które tu złożyli mieszczanie, w razie gdyby okrutna zgraja dostała się w środek miasta.

— Nie troszczcie się o złoto — odrzekł jeden z zakonników — właściciele sami najlepiej bronić go będą.

— Ależ dlatego właśnie przekonać się nam wypada, czy te mury zdołają je zabezpieczyć; świadomo wszystkim, że niewierni, chciwi krwi sług

ołtarza, najpierwej w miejsca święte niosą śmierć i zniszczenie. Jutro ze świtem ojciec Paweł, który przed obleczeniem zakonnej sukni bawił się wojaczką, obejrzy wszystkie bramy i furty, a jeżeli zauważy je nie sposobne do wytrzymania napadu, wtedy trzeba będzie nakłonić tych biednych ludzi, aby gdzieindziej szukali opieki.

— Uczynię jak żądacie, wielebny ojcze, ale daremne wszelkie zasługi, jeżeli Bóg inaczej przeznacza, dozwól chociaż nam tedy obok starań ochronnych, odprawować modły gotujące na drogę do wieczności.

— Odgadłeś, miły bracie, myśl, którą chciałem wam wyjawić; od jutra zaczniemy uroczyste nabożeństwo. Bóg świadkiem, że nie lękam się śmierci, czasami tylko dręczy mię obawa — dodał ciszej, spoglądając na niektórych młodych zakonników — czy każden z was gotówby mężnie ponieść męczeństwo?

— Wielebny ojcze! — zawołali wszyscy, a w oczach ich błyszczał niebieski zapał — nie wahalibyśmy się i chwili wszystką krwią naszą okupić szczęśliwą wieczność!

O dzięki Ci Panie — odrzekł radośnie przeor, wznosząc oczy na wizerunek Chrystusa zawieszony w środku sali — dzięki Ci, żeś ich natchnął świętym Duchem Twoim. — I wymówiwszy te słowa, ściskał po kolei braci, kreśląc ponad każdem

czołem znak krzyża, niby talizman umacniający w świętem przedsięwzięciu.

Za pierwszym blaskiem zorzy, waleczny Piotr z Krempy starosta Sandomierski zerwał się z twardego posłania.

Odmówiwszy krótką lecz żarliwą modlitwę, zarzucił spiesznie rycerskie ubranie i wyszedł przed zamek.

— I cóż tam nowego Boguchwale? — spytał, kładąc rękę na ramieniu wspartego o mur burgrabiego.

— Wszystko jednakowo odparł tenże smutnie — psy tatarskie rade nas zadławić i dokażą tego wkrótce; darmo się spierać — nie podołamy im!

— Na Boga, mów ciszej niech nie słyszą towarzysze!

— Wiedzą oni, co ich czeka, lecz nie lękajcie się; spełnią dlatego swą powinność; zresztą nie mamy wszyscy innej drogi przed sobą, jak zginąć z szablą w ręku!

— Prawdać to, ale zawsze ufajmy w Bogu; czyż wybawić nie może gdy zechce?

Jakoby na potwierdzenie słów starosty, ukazał się brat jego Zbigniew z rozjaśnionem radością obliczem.

— Piotrze — wołał zdala — chcą wchodzić w układy; kilku Tatarów do bram się zbliża, a jeden z nich białą powiewa chustą!

Jakto? czy być może! wpuszczajcież ich czemprędzej. Boże! przebacz mi radość z widoku nieprzyjaciół Twego krzyża.

— Baczność przedewszystkiem — zawołał żywo Boguchwał — może to tylko podejście dla przepatrzenia sił naszych. Każcież im zawiązać oczy, zanim przestąpią bramy.

— Zajmij się tem mój wierny, idź ze Zbigniewem a ja podtenczas zgromadzę zbrojnych w komnatach, w których im damy posłuchanie, aby wzbudzić groźniejsze wyobrażenie naszej potęgi.

Siedząc na wziesionem krześle, otoczon wkoło rycerską załogą, przyjmował starosta wysłańców tureckich.

Oddawszy należne pokłony, wykładać zaczęli powody przybycia, jeden z nich znał polską mowę i służył za tłómacza drugim. Wystawiali naprzód. szeroko, niezmierną potęgę swej hordy, mądrość i wielkość swych wodzów Nogaja i Teleboga; dodali potem, że obadwa ci książęta uczuwszy wielką cześć dla walecznych Sandomierzanów gotowi odstąpić oblężenia, a nadto zawrzeć ze szlachetnym Piotrem z Krempy przymierze, chroniące jego ziemię od dalszych napadów.

Uradował się starosta na takową mowę, uradowali się obecni wojownicy nadzieją wybawienia ze srogiej niedoli; jeden tylko Boguchwał chmur-

nie spoglądał na przybyszów, i gdy zażądali, aby starosta stawił się w ich obozie dla porozumienia się z wodzami, jawną wybuchnął niechęcią; przewidywał jasno zdradę i prędszy jeszcze upadek. Ale Piotr z Krempy, uniesiony szlachetną żądzą ocalenia powierzonego mu grodu, wiedząc, że dłużej nad dni kilka nie oprze się najeźdzcom, nie chciał słuchać żadnych przedstawień i zobowiązał się słowem rycerskiem w dniu następnym stawić się na żądanie niewiernych. Podczas, gdy z równemi jak przy wejściu ostrożnościami, wyprowadzono posłów, przeor Dominikanów blady lecz spokojny, wszedł do komnaty starosty.

— Witajcie nam wielebny ojcze — rzekł powstając na jego powitanie Krempa — cóż nam przynosicie? Słowa wasze zawsze w porę wymówione będą.

— Nie z poradą przychodzę, czestny panie, ale z przestrogą, mogącą wam być przydatną. Bóg dziś objawić nam raczył, jako w dniu jutrzejszym śmiercią męczeńską wejdziemy do jego chwały, a że poniesiemy ją pewno z rąk oblegającej nas dziczy, zatem sądzę, że i miastu bliskie zagraża niebezpieczeństwo.

— Opowiedz mi jak to było, bo rzecz dziwna! jam właśnie sądził, że dzień jutrzejszy wybawi nas wszystkich od onej srogi plagi tatarskiej.

— Dziś od rana w gorących modłach polecaliśmy

dusze nasze Bogu, około południa kazałem czytać głośno jednemu z młodszych braci żywoty męczenników poległych za wiarę, aliści, gdy roztworzył księgę, jasność jakaś wzrok mu olśniła; zamilkł, niezdolny wymówić i słowa; zbiegliśmy się wszyscy, aby czytać tajemnicze głoski, które go takim napełniły podziwem. Na pergaminowej karcie stało wyraźnie ognistemi wypisane słowy: „Czterdziestu kapłanów męczenników w Sandomierzu dnia 30 października“. Padliśmy na kolana, dziękując Panu, że nam dozwala okupić chwilową boleścią chwałę niebieską i grzechy żywota.

Gdy skończył mówić bogobojny zakonnik, starosta rozpowiedział mu nawzajem co zaszło z posłami hordy. Wielebny Sadok uznał, że nie godzi się wachać w zadość uczynieniu ich żądania, skoro w takowem spoczywa nadzieja ocalenia współbraci.

— Działajcie — dodał — skoro godzina wasza jeszcze wam objawioną nie została, my zaś, wyprawiwszy z klasztoru kosztowniejsze sprzęty, pozostawimy bramy otwarte dla spełnienia woli Bożej.

Gdy przy rozstaniu, ramiona zakonnika i rycerza połączyły się w bratnim uścisku, promienny wieniec zajaśniał nad ich głowami.

Boguchwał, który w tejże chwili uchylił drzwi komnaty, cofnął się z podziwem, nie wyrzekł i słowa, lecz straszne jakieś przeczucie ucisnęło mu serce.

Mijały długie godziny, słońce już nawet chyliło się zachodowi a Piotr z Krempy jeszcze nie powracał z nieprzyjacielskiego obozu.

Boguchwał zabawiając małą córkę starosty czteroletnią Helenę, której matka odumarła, myślał niespokojnie o jej ojcu, raz naraz porzucając dziecię, bieżał do okna zkąd widne były bramy warowni. Nagle rozwarły się potężne wrzeciądze i wpadła czerń okrutna, porzucając naprzód martwe srogo pokaleczone zwłoki starosty. Snać straż przerażona nieszczęsnym losem wodza nie czyniła silnego oporu. Boguchwał nie tracąc i chwili, uniósł na rękach w bezpieczniejsze schronienie małą sierotę, a Tatarzy tymczasem do reszty opanowali miasto. Na pierwszy okrzyk, który doszedł ich uszu, bracia św. Dominika zgromadzili się przed ołtarzem Maryi i pieśń Salve Regina zabrzmiała w ich uszach, a uroczyste było to pozdrowienie Boga Rodzicy, bo za chwilę rozległy się dzikie wrzaski, pod sklepieniem świątyni zabłysły mordercze żelaza, i męczennicy rozpoczętą na ziemi modlitwę, dokończyli w niebie!

Król Bolesław Wstydliwy uprosił papieża Aleksandra IV, aby męczeństwo wiernych sług kościoła obchodzone było uroczystym odpustem. Bonifacy VII, a potem Urban wydali bullę zatwierdzając tenże odpust i dotąd w Sandomierzu święto owych zakonników obchodzi się w dzień ich męczeństwa.

Potęga modlitwy i jałmużny.

LEGENDA

przez Adama Pługa.

Przykładów cudownych jest w księgach bez liku,
Co z modłów, z jałmużny, ma dusza i ciało,
Opowiem wam jeden o biednym górniku,
We Francyi to było, a tak się to stało:

»W kopalniach głębokich pracując z innemi,
Gdy głazy kruszcowe rwie młotem ze stali,
Urwisko okropne z łoskotem się wali,
I grzebie go żywcem wśród mrocznych podziemi.

W popłochu i zgrozie tłum pierzchnął strwożony,
I biegli druhowie ze smutną nowiną
Do krewnych górnika, szli z płaczem do żony,
Co wdową została z sierotą dzieciną.

Płakała nieboga, płakała dni wiele,
A wierna za grobem mężowskiéj pamięci

By duszę mu wspomódz, co tydzień w kościele
Modlitwę, jałmużnę, zbawieniu jéj święci.

Rok minął, a wiernie szły modły i dary,
Raz tylko, gdy trudy znękały ją mnogie,
Śród troski zabyła najświętszéj ofiary,
I z chlebem nie wyszła obdzielać ubogie.

Rok minął. Górnicy przy pracy jak wprzódy;
Wstrząsają podziemia toporów ich razy,
I walą się skały skruszone na głazy,
I coraz to nowe powstają przechody.

Aż nagle głaz jeden zajęczy pod ciosem,
Jak gdyby pierś ludzka ozwała się żywa,
I niby się modli żałośnym wciąż głosem,
I niby zaklina, ratunku przyzywa.

I puszczą z rąk młoty zdumione górniki,
I wzrokiem trwożliwym powodzą dokoła;
A z głazu wciąż idą i jęki i krzyki,
I coraz wyraźniéj głos ludzki zeń woła.

Więc jeden i drugi do skały się schyli,
I ucho badawcze troskliwie przyłoży;
I na twarz tłum cały upadnie po chwili,
Bo wielki się iści przed nimi cud Boży...

Do dzieła co prędzéj! głaz runął!... o dziwy!
Z podzieméj jaskini towarzysz ich miły,

Z radosnym okrzykiem wypada k'nim żywy,
I pełen rzeźwości i zdrowia i siły.

Więc biegli do wioski, do dziecka, do żony,
I tłumy się zeszły do chaty górnika.
Zmartwychwstał! wołają, wskrzeszony! wskrzeszony!
I podziw i trwoga im duszę przenika.

I oczom nie wierzą i każdy go pyta,
Jak wytrwał rok cały w grobowym swym sklepie.
Gdzie jasność słoneczna źrenicom zakryta
A pokarm ni napój żywota nie krzepi?

— O! bracia! odrzecze im górnik, cud Boga,
I chlebem mię karmił i światłem weselił,
Gdy głaz mię zwalony ze światem rozdzielił,
Gdy w oczach stanęła wybladła śmierć sroga, —
Gdy piersiom zbolałym wołaniem daremnem,
Oddechu już zbrakło; gdy w grobie swym ciemnym,
Szalony, chcąc skały rozwalić, pięść krwawię,
Gdy wreszcie upadam bez duszy już prawie,

I myślą ostatnią przed Bogiem się korzę,
Blask dziwny, a miły, a wdzięczny jak zorze,
Napełni mi nagle grobową jaskinię,
I w postać anielską, promienną wnet płynie.

A ledwiem nań podniósł zdumioną źrenicę,
Już zniknął cudowny zesłaniec ów nieba:

Ujrzałem już tylko płonącą gromnicę,
W otchłani méj głuchéj i spory kęs chleba.

I minął tak tydzień, jak mniemam.. O Chryste!
Włożyłem już w usta ostatnią kruszynę,
Na knocie tlą jeno iskierki już mgliste...
Już gasną... i w mroku i głodzie zaginę!...

Lecz znowu w mą straszną grobową ciemnicę,
Zawitał promienny zesłaniec ów z nieba,
I znowu mi przyniósł, jak wprzódy »kęs chleba«,
I znowu mi przyniósł płonącą gromnicę!

Rok cały tak minął, raz tylko w tym roku,
Gość drogi mię rzucił bez chleba śród mroku,
I tydzień upłynął, nim w otchłań grobową,
Z pokarmem i światłem otuchę wniósł nową.

Tak skończył, a rzeszę zdumienie i trwoga,
Jak kłosy na niwie po ziemi wiatr ściele;
Bo wszyscy to wiedzą, jak wdowa nieboga,
Co tydzień z modlitwą stawała w kościele.

Więc jéj to gromnicę przyjmując Bóg mile,
Mężowi słał w otchłań przez swoje Cheruby,
Jéj chlebem cudownie go żywił w mogile,
Ofiarą wydźwignął z ostatniéj zaguby!...

Bo szczera jałmużna, z modlitwą wespoły,
Złożona przed Bogiem za bliźnich w ofierze,
Dosięgnie ich cudem, gdyż Bóg ją odbierze,
I pośle im w pomoc przez swoje Anioły.

ZŁA MACOCHA.

Powiastka ludowa*).

W jednej wiosce przed laty mieszkał chłopek ubogi w słomianej i lichej chatce. Jedna krówka, skrzynka czerwono w kwiaty malowana i koniecznie potrzebnych sprzętów trochę, były jego bogactwem. Żona mu umarła, i zostawiła grzeczną a gładką dziewoję. Biedna dziewczyna, rzewnie płakała, a płacząc izbę uprzątała, krówkę doiła, jeść gotowała, a ugotowawszy ojcu w pole nosiła.

Ona to była ozdobą całej wioski, choć uboga choć nie miała wieńca ze złocistych kwiatów, ani tak wiele i różnofarbnych wstążek, w któreby się ustroić mogła, jednak chodziła chędogo, a we wieniec z rozmarynu, lub z polnych kwiatów przybrana, przewyższała urodą niejednę córę gospodarską. Nie długo jednak przy ojcu mieszkać mogła, przyszedł czas nieszczęsny, gdzie rozstać się z nim musiała, i porzucić domek luby, w którym się urodziła, w którym jej matuchna umarła. Ojciec bo-

*) Ze zbioru powiastek wielkopolskich Fr. Wawrowskiego.

wiem ożenił się znów z kobietą, wdową, mającą także córkę; ale była to wielka złośnica. Zazdrościła Kasi i urody, której córka jej nie miała, i kawałka chleba, na który ojciec jej krwawo i ciężko pracował. Macocha nie mogła patrzeć na Kasię, bo córy jej uroda tak gasła przy Kasinej, jak światło miesięczne przy słońcu. Poniewierała więc niebogę, do roboty napędzając, rano wstać kazała, podczas kiedy córa jej sobie dolegała, i wszystkich wygódek używała.

Kasia chętnie wstawała, izbę chętnie umiotła, krówkę wydoiła, wody naniosła; ale wszystko macosze za mało było, wciąż na nią się dąsała. Bolało to i ojca; lecz cóż miał robić, święty pokój chcąc w domu zachować, przedstawiał tylko żonie i prosił, by się z córką jego lepiej obchodziła. Nic to nie poradziło. Nareszcie naprzykrzyło się Kasi siedzieć przy tak złej macosze, prosi tedy ojca, by ją puścił z domu na służbę.

»A kędy pójdziesz, córko kochana?« zapytał ojciec ze łzami:

»Pójdę w świat daleki, gdzie mnie oczy poprowadzą; a choć to trudna poniewierka u ludzi, może znajdę szczęście dla siebie u obcych ludzi miłosiernych«. Dał jej ojciec błogosławieństwo na drogę, ucałował jedyne dziecię i puścił, poruczając ją Opatrzności. Cieszyła się macocha i radowała bardzo, że się pozbędzie znienawidzonej dziewki.

Szła Kasia płacząc, fartuszkiem łzy ocierając, co by perełki spływały po licu; szła drogą w świat daleki. Znużona przyszła nad studnię, ocienioną wysokim jaworem, usiadła nad nią i serdecznie rzewnić sobie poczęła, rozwodząc skargi na złośliwą macochę. Wśród łkania słyszy głos ze studni: »Dzieweczko, dzieweczko, oczyść mnie rybeczko!« a była ta studnia bardzo zamulona. Wzięła się do pracy Kasieńka, bez ociągania się, studnię wybrała, a wybrawszy w dalszą puściła się drogę. »Będę pamiętała o tobie, gdy będziesz wracała«, wołał głos za odchodzącą. — Idzie znów dalej rzewniąc sobie, aliści nade drogą rośnie jabłoń, pełno mchu na niej, liście pożółkłe i kwiaty powiędłe. Znużona siada pod oną jabłonią, chcąc odpocząć sobie, lecz ledwie usiadła słyszy jabłoń do siebie mówiącą: »Dzieweczko, dzieweczko, oczyść i podlej mnie rybeczko!« W okamgnieniu dziewczę oczyściło jabłoń z mchu, listki zżółkłe obrała, suche gałązki obłamała, a przyniósłszy wody z bliskiej strugi, podlała zemdlałe drzewo. Kiedy chciała odchodzić, takie odebrała podziękowanie: » Nie zapomnę ci tego«.

Znów idzie biedna dziewczyna dalej w świat nieznany, i przychodzi do pieca w polu stojącego; przechodząc mimo, słyszy znów wołanie proszącym głosem: »Dzieweczko, dzieweczko, wymieć mnie rybeczko!« Wzięło się dziewczę do roboty, wybrało popiół i piec wymiotło, a za odchodzącą wołał głos:

»Jak będziesz kiedy powracała, zajrzyj do mnie«. Zdziwiona takiemi przygodami niebога, idzie dzień i drugi, a nigdzie ani dachu ani ludzi. Spotyka nareszcie starca, siwego jak gołąbek, który nie mógł przejść przez rów, i prosił nadchodzącą, by go jakim sposobem przeprawiła. Wzięła go na plecy Kasia i przeniosła. Starzec zaczął jej się wypytywać, skąd i dokąd idzie; a gdy się dowiedział o losie jej, zapytał się, czyby u niego służyć nie chciała. »O czemu nie«, rzekła dziewczyna, »jać przecie za służbą idę; a czy mi u was, czy gdzie indziej służyć, toć mi jedno«.

Zgodziła się tedy na lat siedm, bo starzec tak chciał, i poszła do chaty ze starcem. W chatce nic prócz pieska i kaczki nie było. Te to zwierzątka starzec jej pieczy poruczył, sam zaś często wychodził z domu, i chodził po świecie. Kasia doglądała onego pieska i kaczuszki, a i starcowi posługiwała chętnie, kiedy do domu przyszedł. Minęło siedm lat, a Kasia zatęskniła do ojca, prosiła więc onego starca, by ją ze służby uwolnił, a obiecaną dał nagrodę.

Wypłacił jej stary, dając pieniędzy co niemiara; lecz nie dość na tem, kazał jej iść na górę i wybrać sobie pamiątkę. Stały tam skrzynie w piękne kwiaty malowane, złociste i piękne, ale też i proste drewniane; Kasia patrzy, którąby wziąć, ale widzi jednę w kącie stojącą, najgorszą ze wszy-

stkich, i tę wybiera, a wybrawszy na dół zanosi. »Dzieweczko, czemuś najładniejszej nie wybrała«, zapytał starzec; lecz dziewczyna kontentując się małem, rzekła: »Będzie to dla mnie dosyć, piękniejszej nie potrzebuję«. Starzec dał jej taczkę, aby wieźć mogła tę skrzynię, a aby jej tęskno w drodze nie było, rozkazał biedz pieskowi i kaczuszce za nią. Biegły tedy dwa te zwierzątka, a kiedy przybyły do wsi, wciąż wołał piesek: *Hafu, hafu, hafula, jedzie nasza Kasiula; przed nią brzęk, za nią brzęk, wszystko ona dobre wiezie"*; a kaczuszka mu powtarzała wołając: „*Tak, tak, tak*".

Po kilku dniach swéj podróży przychodzi do onego pieca, który wymiatała, zagląda do niego, i widzi, zdziwiona, pełen najpiękniejszych kołaczy; a kiedy stoi i nie wie co począć, czy brać, czy nie, słyszy znów głos: »Bierz ile chcesz, a co najlepszego«. Nabrała więc kołaczów ile jej dusza raczyła, i w dalszą poszła drogę; idzie, aż oto z daleka widzi jabłoń, którą oczyściła ze mchu i suchych gałązek, a na niej złociste połyskują jabłka; gdy się zbliżyła, znów woła coś na nią: »Urwiej sobie kilka, bo tyś mnie oczyściła«. Urwała siedm złocistych jabłek, a nie bawiąc się szła dalej.

Znużona podróżą i spragniona przychodzi nad owę studnię, którą wybrała; napiła się wody czystej jak kryształ, a chłodnej; a gdy chciała odchodzić spostrzega trzy złote kule, a znów coś woła

ze studni: »Dzieweczko, dzieweczko, weź te kule rybeczko!« Wzięła je i schowała. Uradowana biegnie ku domowi, a tęskna miłość ku ojcu kroki jej prędszemi czyniła, i już zdala widzi ojcowską chatkę i serce jej bije, czy wszystkich zastanie a osobliwie ojca przy życiu, i coraz prędzej i prędzej biegnie, i już jest blisko chaty. Stary ojciec na progu siedzi i myśli o swej biedzie, i patrzy ciekawie co za dziewczyna ku niemu się zbliża. Poważnie podniósł się starzec, bo poznał swe dziecię, uściskał córę do nóg mu upadającą, a łzy radości spływały po licu, bo myślał, że się gdzie zmarnowała dzieweczka.

Ale macocha nie chętnie spoglądała na Kasię, półgębkiem się z nią witała, a na boku szydersko się śmiejąc mówiła do córki: »Siedm lat służby, i cóż ma, stare skrzynczysko«. Lecz jak się zdumiała, gdy Kasia skrzynczysko ono otworzyła, wykładać zaczęła szczerozłote wieńce i stroje i suknie co najpiękniejsze, i srebrem tkane fartuszki; gdy zaczęła liczyć pieniądze i kule złote i jabłka, zazdrość porwała złośliwą kobietę i w okamgnieniu w sercu postanowiła i córkę swoją wysłać na służbę. Wypytawszy się więc Kasi o wszystkiem gdzie była; wysłała córkę swoją z domu.

Szła tą samą drogą co Kasia, i przyszła do studni, która jej się prosiła, by ją wybrała, bo mułem zaszła, ale dziewczyna zamiast się wziąść do

roboty, rzekła: »Daj mi pokój, muszę iść dalej«, i poszła; przyszła do jabłoni, omszałej i uwiędłej, gdy pod nią usiadła, słyszy podobnie jak Kasia głos proszący, by jabłoń oczyściła i podlała: »A będę się tam skrabać na ciebie, i drzeć łachy«, rzekła, i poszła dalej; przychodzi do pieca, i ten się prosił, by go wymiotła, a i tu się wymówiła.

W drodze spotyka starca, siedział nad wodą, której przejść nie mógł, prosi się nadchodzącej dziewczyny, by mu jako poradziła. Z początku wymawiała się, ale gdy jej się przypomniał, że to może ten sam dziadek co Kasi tyle dał bogactwa, przeniosła go przez wodę i służbę u niego na siedm lat przyjęła.

Ale jak mu służyła, o piesku i kaczusce, któremi się miała opiekować, żadnego starania nie miała; kiedy jeść starcowi gotowała, najlepsze kąski zjadała. Minęło siedm lat, dał jej starek zasługi, i kazał jej iść na górę, wybrać sobie pamiątkę.

Poszła dziewczyna, blask złocistych skrzyń dziwnie ją zastanowił, szuka najbogatszej i najpiękniejszej, a gdy wybrała na dół zniosła; dał jej stary taczkę, włożyła skrzynię do której zaglądać i otwierać nie miała, aż w domu; aby zaś jej się nie dłużyło, pieskowi i kaczce kazał stary jej gospodarz biegnąć jak wprzódy; gdy już kilka dni szła i jeść jej się zachciało, poczuła zapach przesmacznych kołaczy, aliści widzi piec przed sobą, bieży

prędko i widzi pełen rumianych kołaczy, chce brać, ale głos okropny słyszy: »Nie bierz, nie bierz, boś mnie wymiatać nie chciała«.

Zlękła się bardzo i idzie dalej; aż znów zalatuje ją przedziwny zapach jabłek, aż oto i jabłoń; chce rwać jabłuszka złociste, ale i tu odzywa się jabłoń: »Oczyścić mnieś nie chciała, nie będziesz rwała«. Smutna idzie, aż znów przychodzi do studni, w której napić się przynajmniej chciała. »Idź precz«, zawołało coś ze studni i woda upadać zaczęła.

Zesłabła, zadumana takiemi przygodami, szła pomału, pchając taczkę ze skrzynią. Przybywa do wsi, gdzie mieszkała jej matka; dziwią się ludzie skrzyni, ale piesek wprzód biegnie a woła: »*Hafu, hafu, hafula, jedzie nasza Jagula; przed nią brzęk, za nią brzęk, nic dobrego nie wiezie;*« a kaczuszka powtarzała, mówiąc: »*Tak, tak, tak*«. »Widzisz, widzisz chłopie, moja córa idzie ze służby, a co za skrzynkę ma«, i biegła czem prędzej ku niej.

Wniosła czem prędzej skrzynię do izby i z wielką ciekawością i łakomstwem niezmiernem otwiera skrzynkę, aż tu, o zgrozo! zamiast wieńców złocistych i sukien i fartuchów srebrem tkanych, pełno gadów, robaków, które się wiły jak ćma jaka i córkę chciwą z matką złośnicą zjadły. Taką to nagrodę odebrała zła ona macocha za poniewierkę biednej sieroty!

O lekarkach wiejskich i różnych czarach.

W jedną niedzielę miesiąca września, po ukończonych nieszporach, Gabryel dziadek kościelny z Chociszewa, swoim zwyczajem zasiadł pod rozłożystą lipą cmentarną, a około niego lud wiejski, rad znowu co ciekawego z ust jego usłyszeć.

— Już wam opowiedziałem niejedną historyę, odezwał się Gabryel, i rad jestem, żeście mnie usłuchali, ale że wiele jeszcze między nami wieśniakami panuje złego, któreby należało ze szczętem wykorzenić, więc posłuchajcie jeszcze jednej historyi.

— Oh! co wiele, to wiele między nami znajduje się złego, odpowie Paweł Breńda gospodarz rolny; a toćto nieraz i ksiądz Proboszcz z kazalnicy o tem prawi, jakby łopatą, jak to mówią, w głowę kładzie; ale co to poradzi z drugimi? Jedni słuchają niby uważnie, drudzy i westchną czasem ze skruchą, ale to tylko podobno w kościele; niech jeno wyjdą z kościoła, znowu po swojemu do złego lecą. Albo i to, czy to nie złe, że wielu z nas

w te gusła, zażegnywania, zabobony i różne bałamuctwa wierzy; a nie jestże to grzech wyraźny przeciw pierwszemu przykazaniu Boskiemu?

— A pomogłaż ta nauka kowalce, choć była podtenczas w kościele, jak nam ksiądz Proboszcz tłumaczył to przykazanie? odezwał się Jan Socha, fornal dworski.

— Jakto kowalce? rzecze Józef Mańkut stangret, przecież kowalka zdrowa, tylko jej mąż chory.

— Ja wiem, że nie kowalka tylko jej mąż jest chory, lecz ja do tego zmierzam, jako nauka, którą w kościele słyszała, nie trafiła jej do serca, kiedy się wróżki radzi. A to tak się rzecz ma: Jej mężowi zrobił się wrzód na ręku; zamiast tedy ona poradzić się doktora lub naszej pani, co to ma lekarstwa gotowe na wszystko, to ona tego nie uczyniła, tylko wolała uwierzyć zabobonom i przywiozła cygankę, która zażegnywa różne choroby.

— Wiem o tem, wiem, rzecze Gabryel; my też najwięcej przez nasz upór, ciemnotę a zwłaszcza niedowiarstwo grzeszymy, a nie słuchamy rad i przestróg ludzi rozumniejszych od nas. Kiedy nam ksiądz, doktór, pan albo pani dobre nieraz daje rady, to my je za nic mamy, ale niechaj byle jaka głupia baba poradzi, żeby szukać guślarki i takiej tam guślarki, co to jak mówią, więcej umie jak pacierz, wtenczas wszyscy się na to zgadzają i dają

sobie wyłudzać ciężko zapracowany grosz, a jeszcze Pana Boga przytem obrażają. Oh! co źle, to źle, i nie spodziewać się lepiej, dokąd nie przejrzymy na oczy.

— Ale, widziciebo to mój Gabryelu, przerwie Pawłowa fornalowa, kiedy to ta kobieta ma być mądrzejsza od doktora.

— Co wy też pleciecie moja matko, zawołał Gabryel, a na tę mowę wszyscy głośnym parsknęli śmiechem. Gabryel zaś tak ciągnął:

— A wiem, wiem jaka ona mądra, pewnie kowal straci rękę, to tak mi się coś zdaje, że na to jej rada wyjdzie; to tylko szczęście, że pan dowiedziawszy się o tem, kazał tę babę wypędzić, może tym sposobem złe da się jeszcze naprawić. Musieliście przecie słyszeć, jako ta kobieta kowala leczyła, boć to i głośno o tem wszędzie, a tylko śmiechu z nas narobiono, że my tak ciemni jesteśmy, skoro się dajemy głupim zwodzić.

Baba lekarka, jak każdy oszust jej podobny cóż radziła kowalowi? wstyd i powtarzać; ale muszę to opowiedzieć, abyście łatwo oszustwo poznali. A to tak było: naprzód gdy przywieziono ją przed chałupę kowala, kazała sobie otworzyć drzwi od izby, i tak tyłem obrócona plecami, szła do łóżka chorego. Wtem nagle stanęła, splunęła przed siebie trzy razy i zakręciwszy się trzy razy, stanęła twarzą do niego, dziwne szepty odbywając. Wszyscy

obecni, a zeszło ich się sporo, ciekawie temu się przyglądali. Potem owa baba kazała sobie zapalić świecę łojową i okręciwszy ją sznurkiem wełnianym, obok różnych szeptów, wykrzywiań ust, gdy ją wreszcie zadmuchnęła, dym ten zdmuchiwała na ranę, a kiedy już dymu nie stało, wtenczas świecą dziewięć razy potarła prawą dłoń kowala.

— No i cóż z tego wypadło?... przerwali wszyscy.

— Co wypadło?... odpowie Gabryel, a jużci głupstwo tylko z tego wyjść mogło; bo cóż owe szepty oznaczają jeżeli nie oszukaństwo i czyste wyłudzenie grosza, a jeszcze gorsze nad to wszystko, bo obraza Boska, a nieraz i śmierć z tego następuje.

Nie skończyło się jeszcze na tem; miała ona w butelce jakieś lekarstwo, które zażegnywała i śmieszny odbywała taniec i podrygi; ale lekarstwo to nie inne było tylko arak zmięszany z okowitą, jak się później pokazało, i to lekarstwo usmażywszy w tyglu, na gorąco z okrasą dała wypić kowalowi. Lecz kowal zaraz się od niego upił, rana się rozogniła, i kiedy jakby na domiar złego, zasypała ranę jakimś proszkiem, a było to wapno pomięszane z prochem, to się rana tyle pogorszyła, że mu przyjdzie może rękę odjąć.

— Oh! ta poganicha, zawołały kobiety; a jeszcze

wzięła od niego trzy reńskie i pół korca żyta, zapewniając, że się w trzy dni rana zagoi.

— Tak zagoi! zobaczycie czy się zgoiła, zawołał lokaj dworski, który w tej chwili przybył. Pan w nocy posyłał po doktora do Wyszogroda, a cóż myślicie z tego wypadło? oto przy samem ramieniu musiał mu doktór odjąć rękę, bo już gangrena coraz się bardziej szerzyła, i wtenczas z samem życiem byłby się kowal pożegnał.

— O mój Boże! co to za nieszczęście, zawołały wszystkie kobiety; jaką teraz radę sobie dadzą ci biedni ludziska z pięciorgiem dzieci, a toż on już nie będzie mógł być kowalem, nie mając prawej ręki? Co za nieszczęście! Oh! ta baba niegodziwa ciężko odpowie przed Bogiem za oszustwo, on teraz z żoną i dziećmi na marne wyjdzie. Tak lamentowały poczciwe kobieciny, kiedy Gabryel w te się odezwał słowa:

— Dobrze prawicie, że kowalom na licho teraz wyjdzie, ale któż temu winien, jeśli nie oni, że się w gusła i zabobony wdawali?

— To wyrzekłszy, Gabryel przestał mówić na chwilę i dziwnie posmutniał z wypadku owego kowala, a i wszyscy jakoś posmutnieli, i nadługo byłoby milczenie, gdyby go nie przerwał Józef Safaryn, ogrodowy dworski, w te się odzywając słowa:

— Jasna prawda, co powiedział Gabryel, trzeba nam otrząsnąć się koniecznie z tych z a b o b o-

nów i różnych guseł, bo to i wstydno dla nas, żeśmy tak ciemni. Toć żeby one co pomagały na zdrowie, toby się ich panowie nasi radzili, co to przecie mają lepszy rozum od nas. Ale gdzietam! czarownice, guślarki i jasnowidze nie udają się do ludzi światłych, z którychby więcej niż z pospolitego ludu korzystać mogli, bo dobrze o tem wiedzą, coby ich tam spotkało, ale udają się do ludzi prostych i ciemnych, których korzystnie oszukują.

— Rozumnie prawicie, przerwał Gabryel, dlatego też grzeszy ten, co się do wróżek i czarowników udaje, bo tego, coby chciał mieć, nie u Pana Boga prosi, jeno od złego ducha za pomocą człowieka dostać zamierza.

Albo i takie zabobony czyliż nie są grzechem; boli n. p. kogo ząb albo głowa, zamiast poradzić się doktora, to on idzie do lasu i tam przewięzuje powrósłem po trzy razy drzewo, jakie napotka, i obchodzi dziewięć razy około niego, mówiąc po trzy Zdrowaś Marya; a czy to nie śmieszne? Cóż powrósło słomiane może pomódz zębowi albo głowie?.. pewno że nic nie pomoże, tylko jeszcze przez złą wiarę zaszkodzi, albowiem chory zaniedbuje szukać zdrowej rady, a słabość się starzeje i na gorsze wychodzi. A i to udawanie się do wróżków czyliż nie jest złem?

Zdarzy się wypadek, że skradną komu z nas

konia, wołu lub inną jaką rzecz, wtenczas zamiast westchnąć do Boga o pomoc, a czemprędzej zająć się poszukiwaniem skradzionej rzeczy, to on tego nie uczyni, tylko szuka jakiego niemca wróżbiarza, albo baby wróżbiarki. A tacy wróżbiarze jako oszuści, jeśli sami nie są złodziejami, tedy pewnie do jakiej bandy złodziejskiej należą.

Znam ja i wy pewno dużo znacie takich ludzi, którzy do wielu zabobonów przywiązują wiarę. Pamiętam jednego gospodarza, który zapamiętale w różne gusła i zabobony wierzył; jakieś tam feralne dnie rachował, jakby to dzień jeden od drugiego był lepszy lub gorszy. To też gdy nadszedł mu taki feralny dzień, kamieniem w domu siedział, nawet z chałupy nie wychodził, aby mu się co złego nie przytrafiło.

Drugi znowu także jemu podobny bałamut, jeśli wyjeżdżał z domu, a zając mu przebiegł drogę, albo baba przeszła, choć już był na pół drogi, zacinał konie i wracał nazad do domu. Ale znowu jeden, niby to mądrzejszy od niego, w podobnem będąc zdarzeniu, nie wracał już do domu, bo miał sposób na to.

— A jakiż to sposób? zawołali wszyscy, powiadajcie Gabryelu, bo to coś ciekawie prawicie.

— Hm... śmieszneć to więcej niż ciekawe, rzecze Gabryel, a do tego strasznie głupie, i występnie takich się chwytać bałamuctw. No i jakiż

miał sposób?.. Oto stawał zaraz na drodze, potem zakreślał kozicą trzy koła przed końmi, i takowe trzy razy objechawszy naopak, śmiało w dalszą puszczał się podróż, mówiąc, że mu się w drodze nic złego nie zdarzy.

— Na tę mowę Gabryela wszyscy głośnym parsknęli śmiechem, jasno poznając, jako we wszystkich zabobonach, wróżbach i gusłach samo się tylko oszukanie znajduje, a to wszystko z ciemnoty i złej wiary pochodzi.

— Moi bracia kochani, odezwał się Gabryel, jać już stary jestem, ale radbym z duszy i serca doczekać jeszcze tego, aby choć dzieci nasze mogły się pozbyć tej ciemnoty, jaka nas ogarnęła i do wiela złego nas doprowadza. Zabobon widzi się to niby mała rzecz, a jednak, tu już mieści się jakaś nieufność ku Bogu, a często w zobobonie ukrywa się zemsta okrutna. Żebyście się o tem dokładnie przekonać mogli, opowiem wam jedno najprawdziwsze zdarzenie.

We wsi kościelnej Łęgu mieszkały w jednej izbie dwie parobkowe, które w niewielkiej z sobą żyły zgodzie. O byle jaką rzecz zaraz w zwadę zachodziły i różne na siebie przekleństwa miotały; a że na jednym kominie razem gotowały, to też niech tam która z nich bliżej ognia garnek przystawiła, lub też węgli podgarnęła ku niemu więcej, zaraz w kłótnię i obelgi z sobą zachodziły.

Otóż zdarzenie mieć chciało, że jednej z nich, Antkowej skradziono z chałupy pół sztuki płótna już wykrojonego na koszule dla męża. Rozumie się, że Antkowa zaraz obces wystąpiła z wielkim krzykiem przeciw swej sąsiadce Kasprowej, że to nie kto inny, tylko ona płótno jej skradła. Nic nie pomogły wszelkie tłómaczenia i zaklinania się na czem świat stoi, bo Antkowa wiele sobie nawet mówić nie dała. Jednak mimo ścisłego poszukiwania, płótna nigdzie nie znaleziono.

Cóż więc myślicie, jakże sobie Antkowa radziła w tej sprawie? może westchnęła do Boga o pomoc i zajęła się poczciwy sposób dochodzeniem swej straty? wcale nie.

Słyszała Antkowa o tem, jak to pomiędzy ludem mylnie utrzymują, że jeśli komu co ukradną, dosyć jest mieć jakąś część ze skradzionej rzeczy, i tę część albo kawałek włożyć w trumnę nieboszczyka, to gdy to zacznie gnić z umarłym, zaraz i złodziej będzie powoli sechł, a takiego dozna w żołądku palenia, że kiedy ta rzecz dognije, wtenczas i złodziej w okrutnych bólach zakończy życie... A miała Antkowa chętkę tak się zemścić na Kasprowej; to też gdy jej się ten zabobon przypomniał, aż podskoczyła z radości.

— Czekaj jeno moja ty niewinna, powstała na Kasprowę, mam ja sposób na to... zmarniejesz ty i zginiesz nędznie ze świata.

— Antosiowa kochana! odpowie Kasprowa, składając ręce, róbcie sobie co chcecie, ale jak Bóg na niebie, tak ja waszego płótna nie ukradła.

— Nie ukradła, nie ukradła... wykrzyknęła zaperzona Antkowa, jakie mi niewiniątko, patrzajcie ją! Przekonamy się o tem niedługo. Jakoż nadarzyła się do tego okazya.

W parę dni potem umarł w parafii Łęskiej jeden z wieśniaków, i gdy go do pochowku przywieziono na cmentarz, w tej właśnie porze, kiedy przed spuszczeniem ciała do grobu córka nieboszczyka rzuciła się z boleścią na trumnę, płacząc i lamentując, i kiedy odsunęła wieko trumny dla ucałowania raz ostatni rąk ukochanego ojca, Antkowa tak się zręcznie podsunęła, że ów łokieć płótna wrzuciła do trumny. Widziały to drugie kobiety, ale nic nie mówiły, bo to i one takie były zabobonne, dlatego też uważały to sobie za zwykły środek.

Cóż więc z tego nastąpiło? Antkowa w tydzień po opisanem zdarzeniu, znalazła swoje płótno w komorze zawinięte w sukmanę odświętną. Przekonała się tedy o fałszywości zabobonu i niewinności Kasprowej, a gdy biedna Kasprowa z niewinnego posądzenia wymizerniała i aż w chorobę popadła, Antkowa uczuła żal w sercu, pojednała się z nią i wstydziła się dawnego błędu.

Są to jeszcze i drudzy podobnie zabobonni, których jeśli jaka kradzież spotka, albo też złość

na kogo mają, chcąc wykryć szkodę, lub też zemsty dokonać, znowu takich się chwytają zabobonów. Zakupują świecę do kościoła, i udając niby pobożność, składają onę na ofiarę z takiem zastrzeżeniem, żeby się w czasie Mszy Świętej na ołtarzu paliła; a mają taką wiarę w ten zabobon, że skoro świeca zacznie się palić, natenczas i ten złodziej dozna okrutnego palenia wnętrzności, aż w końcu kiedy się świeca dopali, wtenczas i on w bólach dokona życia.

— Widno to każdemu mój Gabryelu kochany, odezwał się z gromady Paweł Krzepota, jako jest złą rzeczą wierzyć w gusła i różne zabobony, a i grzech ciężki za tem idzie, jakośmy jasno z waszego opowiadania widzieli. Jać sam trochę umiem czytać, a mam to zapisane w mojej książeczce od nabożeństwa, że się Pan Bóg za takie rzeczy obraża.

Poczem wszyscy powstali z miejsc swoich i jednogłośnie zawołali:

— Dziękujemy wam Gabryelu, żeście nam tyle skutków złego przesądu wystawili. Już nam trzeba się koniecznie oczyścić z tych zabobonów, bo to każdy widzi, ile między nami zostaje złego do poprawienia. Ale i wy Gabryelu nie opuszczajcie nas ze swoją radą, a my z chęcią w każdą niedzielę, jak będzie pogoda, przyjdziemy pod lipę na słuchanie waszych opowiadań.

Przyjmuje się z wdzięcznością

oprócz prenumeraty, także **naddatki** na „**pomocniczy fundusz**“ dla wydawnictwa „Skarbnicy“ i innych książeczek. Imiona łaskawych ofiarodawców będą drukowane w „Skarbnicy“.

Komu chodzi o to, by się nasze pożyteczne i naukowe książeczki rozszerzały między ludem, niech nam dopomaga, nadsyłając oprócz prenumeraty, osobny datek na fundusz pomocniczy.

Katolicy w krajach zagranicznych, nietylko prenumerują pisma, ale wspomagają je naddatkami, a jeżeli tak czynią tamci, czemużby nie mogli tego robić katolicy w naszym kraju, zwłaszcza zamożniejsi?

Kilka roczników „Nowego Dzwonka“

z roku zeszłego (1895) i z roku 1896 nabyć jeszcze można w redakcji „Skarbnicy“. Rocznik z roku 1895 kosztuje: **2** złr. — a z roku 1896: **1** złr. **50** cnt.

„Przyjdź królestwo Twoje... Eucharystyczne!“

(Numera na okaz za darmo).

Czasopismo religijne o czci Najśw. Sakramentu

wydawane raz na miesiąc przez ks. Ludwika Dąbrowskiego, proboszcza w Bruckenthalu, poczta: Uhnów (Galicya).

Wychodzi o 16 stronach druku dnia 15 każdego miesiąca, kosztuje całorocznie **70** ct.

Przedpłatę przesyłać najlepiej przekazem pocztowym.

„U stóp Krzyża“

książka do modlenia, 600 stron druku, oprawna w skórkę kosztuje z przesyłką **90** cnt.

„Złota książka polskiej dziewicy“

oprawna w czerwone płótno, kosztuje z przesyłką **1** złr.

Obie te książki nabyć można w księgarni **Pawła Starzyka we Lwowie.**

NA ODNOWIENIE KOŚCIOŁA
OO. BERNARDYNÓW W LEŻAJSKU.

W dalszym ciągu złożyli ofiary: N. ks. Biskup Łukasz de Ostoja Solecki i Józef Majewski po 50 złr., Fr. Zacharyasiewicz, N. N. po 50 ct.; O. L., Joanna M. z Leżajska, Ewa Maszczak ze Lwowa, Marya Nita, A. Nikodemowicz po 1 złr.; Jan Stokłosa 1 złr. 20 ct.; Józefa i Julia Magierowska, K. Kotrianowa, gmina Brzeszcze, Teofil Kopystyński, A. Ponikłowa po 2 złr.; A. Roszkiewiczowa 2 złr. 70 ct.; ks. Kowalczyk, Kuczkowski z Wrocławia, N. N. z S. po 3 złr.; Zofia i Teofila Barańska, Z. Hendel, I. Bayer, Zofia Bednarska, Celina hr. Dębicka po 5 złr.; hr. Ressegnier 10 marek; ks. Wołcz ze Lwowa 7 złr.; ks. kan. Federkiewicz. Barbara Kalitowa i konw. OO. Dominikanów w Żółkwi po 10 złr.; Zofia Drążek 20 złr.; W. M. z Leżajska 30 złr.; hr. R. Potocki z Łańcuta 300 złr.

Komitet poczuwając się do serdecznej wdzięczności, przesyła jak zwykle P. T. Dobrodziejom serdeczne „Bóg zapłać“, z zapewnieniem pamięci przed Bogiem i Najśw. Panną, odprawiając, jak to już dawniej wspominałem, od chwili powzięcia zamiaru restauracji, każdej soboty ofiarę Mszy św. w intencji Tych, którzy się jakąkolwiek ofiarą do odnowienia Leżajskiej świątyni przyczynili lub w przyszłości przyczynią.

Ks. Łukasz Dankiewicz

przełożony klasztoru.